

# Stanisław Śniechórski

---

Rok 1939

---

Palestra 38/7-8(439-440), 22-27

---

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

---

Stanisław Śniechórski

I

## Rok 1939

W dniu 24 sierpnia 1939 roku otrzymałem jako podchorąży ogniomistrz kartę mobilizacyjną i rozkaz natychmiastowego wyjazdu do macierzystego 13 Pułku Kresowego Artylerii Lekkiej w Równym Wołyńskim.

Pożegnania, błogosławieństwa i całonocna podróż. Pociąg przeładowany zmobilizowanymi, co jakiś czas hamowany urządzeniami alarmowymi przez dywersantów, zatrzymywał się gwałtownie z piskiem hamulców, żandarmeria wojskowa na próżno szukała sprawców.

Rano jesteśmy w pułku w Równym. Sformowane wcześniej dwa pułki już wyszły na pozycje. My mamy formować trzecią edycję pod nazwą 213. Pułku. Rozpoczyna się gorączkowa bieżanina, zamęt i rozgardiasz. Rankiem 1 września wiadomość: wojna!

To, co zostało sformowane, ma wyjść jak najprędzej na zachód. Krążą już niemieckie samoloty.

Ruszamy w drogę. Bardzo trudną. Jezdnie zapchane uciekinierami na wschód. Samochody osobowe, ciężarowe, furgony i furmanki konne, wózki ręczne, gromady pieszych z tobołami i walizkami. Trudności z pojeniem naszych koni. Woda w studniach wybrana aż do mułu. Co jakiś czas alarm: Lotnik, kryć się! Zjeżdżamy w pole lub w zarośla. A potem znów naprzód.

Jako oficer zwiadowczy jadę przodem, po godzinie chrypnę od krzyku: Lewa wolna!!! Skutek znikomy. Fala uciekinierów przez całą szerokość szosy.

Wreszcie docieramy do Włodzimierza Wołyńskiego – do koszar Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii. Tutaj istne piekło. Tysiące żołnierzy, koni, armat, wozów, jaszczów. Dowództwo poleca formowanie się w baterie. Zgłaszam się więc do marsowego kapitana. Przyjmuje mnie z radością.

Wymarsz w kierunku Bugu, obsadzenie wschodniego brzegu. Reszta znana z dziesiątków wspomnień. Mało strzelania, dużo przemarszy, nalotów, śmierci, męki ludzi i koni.

Wreszcie nadszedł dzień 17 września. Wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej. Rozkaz zwalniania „tutejszych”, niszczenie broni i odwrót do Włodzimierza.

Zamki od armat topione są w studniach, karabiny roztrzaskiwane o kamienie. Wielu żołnierzy płacze.

Do Włodzimierza dojeżdżamy późnym wieczorem. Kierujemy się do kolonii oficerskiej, niedaleko Szkoły Podchorążych. Żona znajomego majora przyjmuje nas na nocleg. We czterech kładziemy się w mundurach na wielkim

tapczanie. Spać trudno. Jak przez mgłę w północy stale słyszę huk motorów. Skoro świt wychodzę przed dom. Na ulicy stoi żołnierz sowiecki, mysy szynel, spiczasta czapka, karabin z długim cienkim bagnetem.

Wracam do kolegów, budzę ich. Tylnym wyjściem biegniemy do koni. Galopem ruszamy w stronę koszar. Boczna brama jeszcze otwarta. Warta zatrzaskuje ją z trzaskiem za nami.

Na olbrzymim placu apelowym Szkoły Podchorążych – tłumy. Spotykam kolegę szkolnego Jurka Dworakowskiego, jest podporucznikiem, adiutantem Generała Smorawińskiego.

Okazuje się, że w nocy Szkołę otoczyły szczelnie czołgi radzieckie. Wewnątrz setki oficerów artylerii, absolwenci Zawodowej Podchorążówki Artylerii z Torunia, są nasi oficerowie i instruktorzy, są tysiące innych.

Jurek mówi, iż toczą się rozmowy naszych generałów z dowódcami radzieckimi, że mamy być zwalniani z obowiązkiem udania się z bronią i końmi za Bug. Po paru godzinach wiadomość, że wypuszczą nas, ale tylko z bronią boczną, bez koni. Wreszcie następnego ranka nasze dowództwo zarządza wymarsz na błonia przyległe do Szkoły.

Olbrzymia kolumna zatrzymuje się. Z hukiem motorów okrążają nas czołgi. Nadjeżdżają ciężarówki. Żołnierze rozkładają na ziemi koce. Komisarze w czarnych skórzanych płaszczach i okrągłych czapkach z czerwonymi gwiazdami rozkazują na te koce oddawać broń boczną.

Rosną góry rewolwerów. Naszą kolumnę przepędzają dalej. Ruszamy w drogę, otoczeni żołnierzami. Idą z karabinami zwróconymi w naszą stronę.

Po drodze, co czas jakiś postój, asysta wykorzystuje ten czas na rabunkowe rewizje. Zabierają zegarki, obrączki, pierścionki, pieniądze, brzytwy.

Dziennie przechodzimy pewnie z dwadzieścia kilometrów. Nie dają nam ani pić, ani niczego do jedzenia. Pijemy wodę z przydrożnych rowów, w których zdarza się, że nieco dalej leży zabity koń. Śpimy na ziemi, otoczeni wartami. Opiekujemy się chorym kolegą, por. Szmalstychem. Wreszcie docieramy do Łucka. Wpędzają nas do zdewastowanych, zrabowanych koszar, przy których zrujnowane domy oficerskie.

W opuszczonych domach na próżno szukamy czegoś do jedzenia. Na szczęście w kranach jest jeszcze woda. Wreszcie można pić. Można nabrać wody do manierek.

Kapitan Piotr Zieliński, wykładowca ze Szkoły Podchorążych zna język rosyjski. Zawiadamia, że mamy ustawiać się w dwójki i kierować się do miejsca, gdzie będą wydawane przepustki.

Trochę nadziei. Ustawiamy się wobec tego w owe dwójki. Kilometrowy wąż posuwa się wolno naprzód. Wychodzimy wreszcie na dworzec kolejowy. Szczelnie obstawiony wartownikami. Komisarze odliczają po 60 ludzi i ładują do wagonów towarowych. Zasuważą drzwi wagonów, rygle drutują. Małe okienka są już zabezpieczone kolczastym drutem.

Stoimy tak stłoczeni, że nie ma mowy o siadaniu. Czekamy. Nad ranem pociąg rusza. Jedziemy, nie ulega wątpliwości, że na wschód...

Wieczorem – postój. Nikt do nas nie przychodzi, ani z wodą, ani z chlebem. Przez okienko widzę, że niezależnie od żołnierzy, okrążają pociąg patrole cywilów z karabinami i czerwonymi opaskami.

I tak trwa to jak straszny sen. Jasno, a więc pociąg jedzie, ciemno – postój.

**N**aradzamy się z najbliższymi kolegami – trzeba uciekać. Oczywiście w dzień, gdy pociąg w ruchu. W dzień!

Zrywamy drut kolczasty z okienka, przy którym stoimy, koledzy trzymają mnie za nogi, zrywam drut kolczasty z rygla. Od wewnątrz odsuwamy drzwi wagonu. Kolejno, jak umówione, skaczemy z pociągu w biegu. Potężne uderzenie o ziemię. Każdy z nas zrywa się i idzie wzdłuż toru, w przeciwnym kierunku od biegu pociągu. Mija nas pociąg. Ostatni wagon to lora, na niej ustawione karabiny maszynowe – na szczęście obsługa śpi po nocnym czuwaniu. Serii w plecy nie będzie.

Widzimy, że po przeciwnej stronie toru, w odległości kilkuset metrów od nas, ludzie pracują w polu. Zobaczyli nas, machają rękami, coś krzyczą, ktoś biegnie, pewno do wsi.

Po naszej stronie toru, niedaleko las. Biegniemy, aby się skryć. Lasem idziemy może kilometr, może dwa. Nagle słyszym parskanie koni. Widać wozy, dziwne, z płóciennymi budami. Są i ludzie. To Cyganie. Podchodzimy, otacza nas gromada, przyglądają się nam ciekawie. Wdajemy się w rozmowę z kimś, kto wydał nam się najstarszy. Nasze mundury, buty długie, torby polowe wyraźnie wskazały, że uciekliśmy z niewoli. Łamaną polszczyzną tłumaczy nam, że nie przejdziemy daleko, że złapią nas w pierwszej wsi. Proponuje zamianę – za nasze mundury, buty i torby dadzą nam cywilne ubrania. Dokonujemy tej zamiany. Wyglądamy jak piątka zarośniętych, brudnych włóczęgów. Mimo powagi sytuacji – trudno opanować wesołość. No i nareszcie poczęstunek, mleko, chleb, ser biały...

Pod wieczór ruszamy na zachód, postanawiamy rozdzielić się na dwie grupy, aby nie zwracać na siebie uwagi i jeżeli jedni wpadną, drudzy będą mieli szanse przejścia.

Idziemy we dwóch z Czesławem Jeleńskim.

Idziemy nocami, a w dzień kryjemy się po krzakach, lasach i ugorach. Liczymy każdy dzień wolności jako szczęśny dar losu.

Przekradamy się przez dawną granicę w Szepietówce. Na Wołyniu – już inaczej. Idziemy we dnie, szczęśliwie trafiamy na polskie gospodarstwa. Często zastajemy tylko gospodarza, rodzinę bowiem odesłał na zachód.

Wreszcie jesteśmy nad Bugiem.

W Lublinie – pierwsze spotkanie żołnierzy niemieckich.

I na koniec – Warszawa!

A na listach ofiar Katynia, wśród wielu tysięcy nazwisk – znajdują się: generał Mieczysław Smorawiński i jego wierny adiutant ppor. Jerzy Dworakowski, kapitan artylerii Piotr Zieliński, ppor. artylerii Józef Szmalszych...

*Z transportu, idącego najpewniej do Starobielska, a liczącego ok. 2000 ludzi – wyskoczyło pięciu. Autor, pchor. Czesław Jeleński, podchor. Jeziorański oraz dwóch, których nazwisk nie pamiętam. Ppor. Józef Szmalszych nie zdecydował się na ucieczkę, wobec wielkiego osłabienia i stanu po odmie płuc. Czesław Jeleński, jako ppor. odznaczony Krzyżem Walecznych w Powstaniu Warszawskim – zmarł w Warszawie 30 VIII 1992 roku. O pozostałych uczestnikach ucieczki niestety nic nie wiem, nawet nie wiem, czy udało im się szczęśliwie dojść do Polski.*

## II

# POWSTANIE

**N**ie dotarł do mnie rozkaz udania się na zbiórkę mego oddziału w okolice ronda Waszyngtona. Zadaniem naszym miało być opanowanie przyczółka mostu Poniatowskiego od strony Saskiej Kępy.

Tak więc w dniu wybuchu Powstania zgłosiłem się do najbliższego oddziału Armii Krajowej – plutonu III Kompanii I Batalionu „BELT” – działającego w Śródmieściu, z kwaterą na Kruczej w domu dziś nie istniejącym, niedaleko Nowogrodzkiej.

Dowodził plutonem por. „Topór” Zbigniew Krygler, szefem był b. dyrektor poznańskiego BAZARU – Edmund Kujaciński; grupował robotników, uczonych, inżynierów. Była księżniczka Wanda Lubomirska „Jaskółka”, młody uczonek Stanisław Fajans „Fabian”, inż. Jerzy Kleber „IW” i wielu znanych mi tylko z pseudonimów „Gnat”, „Czarny”, „Wyrwa”, „Zielonka”, „Brzoza”, „Jawor”, „Rawicz”, „Śmigły”, „Zapłata”, „Handzar”.

Pierwsze dni – to ostrzeliwanie Niemców w Alejach Jerozolimskich, którzy z uwagi na obawę zniszczenia tunelu pod nimi, nie dokonywali nalotów, ale ogniem z miotaczy palili poszczególne domy.

W dniu 4 sierpnia 1944 roku w akcji gaszenia pożarów domów w Alejach, m.in. domu, w którym miała siedzibę Rada Adwokacka oraz słynna apteka GESNERA, lałem wodę podawanymi wiadrami z dachu domu przy ul. Nowogrodzkiej na szalejący pożar pod nami. Musiałem jednak zejść na dół, bowiem Niemiec, gdzieś z ulicy Brackiej, wziął mnie na cel i na szczęście tylko przestrzelił prawą nogę nad kolaniem.

Krwawiąc, zszedłem na dół, a spotkany na ulicy mec. Mieczysław Jarosz doprowadził mnie do powstańczego szpitala na ulicy Żurawiej.

Prowizoryczny szpital zajmował parter w podwórzu. Po sondowaniach i stwierdzeniu, że kula przeszła na wylot nie uszkodzając kości, położono mnie na sienniku, obok wielu innych. Wystuchiwaliśmy odgłosów bombardowań, nalotów. Dym spalenizny snuł się w powietrzu. Co jakiś czas odzywał się przedziwny głos, jakby przesuwanych mebli, czy ryk krowy. A za małą chwilę seria wybuchów. To wyrzutnie raketowe niosące olbrzymie zniszczenia – nie tylko burzące mury, ale i rozlewające płyny zapalające.

Znoszono stale nowych rannych, nocą chowano zmarłych. Groby kopano na podwórzu domu, a potem po nocach słychać było potworny szelest papierów, w które owijano zwłoki. Szum sypanej na nie ziemi.

Ksiądz krążył po salach, spowiadał.

Tak więc jeszcze kulejąc, wróciłem do oddziału.

Przez czas mego pobytu na Żurawiej 4 zbudowano przejście przez Aleje Jerozolimskie, które było pod stałym ostrzałem niemieckich snajperów, tkwiących gdzieś w okolicy Hotelu Polonia.

Z jezdni zdarto kostkę, wykopano rów, przejście obłożono wysoko workami z piachem, niestety nie można było przeciąć szyn tramwajowych, tak więc ich przekroczenie zmuszało albo do głębokiego pochylenia się, albo narażało idących nieuważnie na śmiertelny postrzał w głowę. Przejście to umożliwiała komunikację w Śródmieściu.

Nasz Oddział miał za zadanie ochronę tego obiektu, jak i bezpieczne kierowanie ruchem w obie strony. Poza tym stała gotowość do akcji, szczególnie od strony mostu Poniatowskiego.

Był to posterunek w piwnicy domu, już nie istniejącego, na rogu Alej i Brackiej. Widok w kierunku mostu.

Noc, elektryczność zepsuta, ktoś zbliża się do posterunku. „Hasło, kto idzie?!” odpowiedź: „Tutaj Monter”. „Świetnie, może coś pan poradzi, bo nie mamy światła!”

Głos z ciemności: „Tu pułkownik MONTER”.

Ano konsternacja.

Jest jasny dzień, hut motorów od mostu Poniatowskiego. Na wysokości gmachu dzisiejszej giełdy zjawia się czołg.

Przez lunetkę widzę, że lufa zniża się, otwór lufy coraz bliższy regularnego koła. A więc walnie w nas.

W tej chwili straszliwy huk, czołg w kłębach dymu, błyska ogień, wyskakują Niemcy... To nasi tzw. Piątem od gmachu obecnej giełdy rozwalili czołg i wystrzelali uciekającą załogę.

Słońce przez cały czas Powstania świeciło jasno od rana do wieczora. Jasno było zwłaszcza wtedy, gdy dymy rozwiewał wiatr. Zapachem spalenizny

prześlągnięte było wszystko. Gdy milkły strzały, nad miastem zapanowała nagła i martwa cisza.

W tak jasny dzień, nagle, na wielkiej wysokości zjawily się samoloty. Szły z głuchym szumem motorów, a do nich za chwilę ruszyła niemiecka artyleria przeciwlotnicza. Z samolotów zaczęły spadać pojemniki, rozwijały się białe spadochrony.

Niestety niewiele spada na naszą stronę, a w pojemnikach żywność, opatrunki, broń.

Jest 24 września 1944 roku. Nasz oddział zbiera się przed kwaterą na akcję. Wtem huk. Między nami rozrywają się pociski. Por. Zapłata trafiony małym odłamkiem tuż za uchem – ginie na miejscu, leży kilku rannych, moja lewa noga otrzymała dobrą porcję odłamków, szczególnie kolano.

Niosą nas do szpitala, który mieści się na ulicy Mokotowskiej, przez wejście w piwnicach od ulicy Kruczej. A więc piwnica, korytarz ceglany, wapnem obielony, oświetlony, zdaje się karbidówkami. Szereg noszy. Czekam na swoją kolejkę, a z „sali operacyjnej” z sąsiedniej piwnicy dochodzi rozpaczliwy wrzask i coś jak zgrzyt piły po kości.

Wnoszą tam i mnie. Lekarze sondują rany, wystukują odłamki, kiwiają głowami, ja zaś patrzę, gdzie jest owa piła... I nagle słyszę głos lekarza: „No, chyba będziemy ciąć”.

Protestuję, nie ma zgody! Odnoszą mnie więc na kwaterę, gdzie tymczasem zorganizowano szpitalik dla rannych z oddziału pod zarządem dr Heleny Kołodziejkiej-Piotrowskiej i przy pomocy pielęgniarskiej Haliny Piotrowskiej.

Chwałą mnie, że „uciekłem” z Mokotowskiej. Jakieś okłady na rany. Tak mija szereg dni.

Zbliża się nieuchronnie kapitulacja. Oddział rozwiązuje się. Niektórzy chcą korzystać z praw kombatantów i iść do niewoli.

Odnajduję żonę. Z maleńką córeczką, ja na kulach, ruszamy z tłumem warszawian na plac przed Politechniką i dalej do Pruszkowa. Po nocy na betonie w wielkiej hali fabrycznej, wśród tłumów ludzkich, już wieczorem, ładują nas do otwartych węglarek i nocą w ulewny deszcz pociąg rusza w nieznaną.

Tak skończyły się dwa miesiące wolności.

Potem czekaliśmy na nią 45 lat...